

Dieter Ehrhardt

Landsberg nad Wartą i ja : wyznanie miłości byłego landsberczyka do dzisiejszego Gorzowa

Nadwarciański Rocznik Historyczno-Archiwalny nr 14, 357-374

2007

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Dieter Ehrhardt
Zell

Landsberg nad Wartą i ja. Wyznanie miłości byłego landsberczyka do dzisiejszego Gorzowa

Nota o Autorze:

Dieter Ehrhardt (formalnie nosi imiona Dietrich Manfred Kurt) urodził się w 1934 roku w Landsbergu/Gorzowie, mieszkał przy ul. Wawrzyniaka 73, syn Kurta (głównego księgowego w fabryce Maxa-Bahra) i Almy z domu Grunzke. Studiował prawo, ekonomię i psychologię na uniwersytetach we Frankfurcie nad Menem, Monachium, Getyndze i Marburgu (1956–1961). Po studiach był nieetatowym korespondentem w zakresie spraw niemieckich i europejskich dla fińskiej gazety „Satakunnan Kansa” w fińskim Pori (1958–1965). Przeprowadził wówczas wywiady z wieloma ludźmi polityki i artystami, m. in. Willim Brandtem, Louisem Armstrongiem, Jeanem Cocteau, Fernandem, Yehudi Nenuhinem, Karlem Böhmem i Pierrem Salingerem w Białym Domu (rzecznik prasowy prezydenta Johna F. Kennedy’ego). W roku 1969 na Uniwersytecie w Marburgu obronił pracę doktorską z zakresu prawa międzynarodowego. Wolny słuchacz UN Institute for Training and Research – Instytutu Szkoleń i Badań ONZ (1971–1972). Następnie referent w Federalnym Ministerstwie Współpracy Ekonomicznej (BMZ) w Bonn (1972–1975); następnie w UNFPA – Funduszu Ludnościowym ONZ – dyrektor dla anglojęzycznej części Karaibów (z siedzibą na Jamaice – 1975–1980), następnie Kenii (1980–1984), Turcji (1984–1988) i Południowym Pacyfiku (z siedzibą na Fidżi 1988–1990), następnie zastępca naczelnika departamentu w BMZ w Bonn (1991–1992 i 1995–1999). Ekspert od spraw ludnościowych przy Komisji Europejskiej w Brukseli (1992–1995). Głównym jego zainteresowaniem w pracy w latach 1972–1999 była polityka ludnościowa i planowanie rodziny w Trzecim Świecie. Przyjaciół Wiesława Górnickiego od roku 1967 do jego śmierci w roku 1996. Obecnie mieszka w Zell koło Würzburga.



Dieter Ehrhardt (zdjęcie współczesne)

Poniżej zamieszczamy obszernie końcowe fragmenty książki Dietera Ehrharda, która nakładem autora ukazała się w trzech wydaniach. Przetłumaczone fragmenty pochodzą z wydania III (Landsberg an der Warthe und ich. Liebeserklärung eines Landsbergers an Gorzów Włkp., Würzburg 2006, ss. 98). Tłumaczenie Grzegorz Kowalski.

20 lipca 1944

Od wczesnego lata 1944 „strzelcy krajowi“, mężczyźni do 60 roku życia, odbywali ćwiczenia weekendowe. Mój ojciec został powołany, ponieważ miał doświadczenie z pierwszej wojny światowej, podczas której walczył jako sierżant. „Strzelcy krajowi“ byli przedostatnią próbą ratunku dla narodowych socjalistów; ostatnią była ich kontynuacja – volkssturm od września/października 1944. Do volkssturmu powoływano mężczyzn w wieku od 16 do 60 lat. Hitler już podczas walk w „kotle“ stalingradzkim w styczniu 1943 r. zrezygnował z uczestnictwa w „ostatecznym zwycięstwie” 240 000 żołnierzy, zabraniając im próby przebicia się na zachód. Wygląda więc na to, że przy tworzeniu volkssturmu nie chodziło bynajmniej o próbę wygrania wojny przy pomocy tych bojowników, lecz o to, by dodatkowo zgładzić jak najwięcej Niemców: Skoro naród niemiecki jest zbyt słaby, żeby wygrać tę wojnę, to nie zasłużył na to, by ją przeżyć – stwierdził Hitler.

Wiść o nieudanym zamachu na Hitlera po południu 20 lipca 1944 r. rozniosła się po Niemczech lotem błyskawicy. Mój ojciec stał akurat wśród innych strzelców, kiedy przyszedłem na miejsce ich zbiórki w centrum miasta. Starsi panowie zdawali się raczej skamieniały niż oniemiały, a w każdym razie wyglądali na znękanym, zmęczonym i zmierniałym.

Z powojennych rozmów wiem, że mój ojciec był rozczarowany, iż zamach się nie udał – sukces zakończyłby tę nieszczęsną wojnę. Wtedy jednak zabrał mnie na stronę i szeptem nakazał, abym nie rozmawiał z nim zbyt wiele. Zapewne obawiał się, że powiem coś, co można by uznać za defetyzm, coś czego inni nie powinni usłyszeć. Najwyraźniej zdawał sobie sprawę z realności niebezpieczeństwa i wiedział, co czyni.

Ingo Müller tak opisuje tę sytuację w swej książce *Furchtbare Juristen* (str. 156): Po zamachowcach (20 lipca 1944) szybko rozprawiono się także z ich zwolennikami, nazywanymi w żargonie narodowosocjalistycznych prawników „Bravos”. Wystarczyło po prostu wyrazić ubolewanie, że spiskowcy byli nieskuteczni, by zostać skazanym na karę śmierci, przy czym sąd ze zwykłej opinii konstruował zarzut współudziału w zamachu *post factum*.

Od tego czasu wielokrotnie zastanawiałem się nad skutkami tego, że zamach się powiódł. Być może jest przecież tak, że tylko dzięki temu możliwa jest dziś stabilizacja w Europie.

Po I wojnie światowej powstała w Niemczech osławiona „legenda ciosu w plecy“. Wszelkiej maści Hindenburgowie i Ludendorffowie stwierdzili, że Niemcy przegrały wojnę tylko dlatego, że rewolucyjna działalność niemieckiej lewicy w ojczyźnie okazała się „zdradzieckim uderzeniem“. Ten idiotyzm był niczym w porównaniu do agitacji niemieckiej skrajnej prawicy, do której doszłoby z całą pewnością, gdyby zamach się powiódł, a Niemcy skapitulowały: „Gdyby ci zdrajcy nie zabili Hitlera, wygralibyśmy tę wojnę“.

Niemcy, a wraz z nią Europa, wrzałyby do dziś.



Gorzów przed rokiem 1945 (fot. Kurt Ehrhardt)

Jesień 1944

Jesienią 1944 roku nasza rodzina wyczuwała już, że sowiecki front powoli się zbliża. Chyba musiałem się już nad tym zastanawiać, bo pamiętam, jak któregoś dnia spytałem moich rodziców: A co się stanie, jeśli przegramy wojnę? Przypominam sobie mgliście jakąś trudno zrozumiałą, bo wymijającą odpowiedź; a nie wiedziałem, że mój ojciec straciłby głowę na szafocie, gdybym np. powtórzył w szkole jakąś pesymistyczną uwagę, która padła w rodzinnym gronie. Dzięki Bogu, nasi rodzice nie informowali nas nawet o takim niebezpieczeństwie.

Na jesień 1944 r. przypadają jeszcze inne wydarzenia, które były typowe dla ówczesnego, pokojowego życia w Niemczech czasu drugiej wojny światowej. Obserwowałem je żywymi zmysłami i nigdy ich nie zapomnę.

Kwestie zaopatrzenia były najważniejsze. Kartki żywnościowe ograniczyły ilość dostępnej żywności, ale nie cierpieliśmy głodu. Jednocześnie wykorzystywaliśmy każdą okazję, by poprawić nasze zaopatrzenie.

Ledwie zebrano wokół Landsbergu buraki cukrowe, a już ktoś wpadł na pomysł, by wzbogacić naszą ubogą dietę o syrop z tychże buraków. Z naszego dziecięcego pokoju Ilse i ja widzieliśmy płaski dach pralni, dostawionej do ściany naszego domu, wybudowanego przez Maxa Bahra; co roku odkrywaliśmy na tym dachu pierwszy śnieg. W pralni tej znajdował się miedziany kocioł, w czasie wojny z braku węgla opalany drewnem. Mieścił 60 litrów. Można było gotować w nim nie tylko bieliznę, ale także kawałki buraków cukrowych. Problemem było jednak przerobienie buraków na te kawałki – wyjątkowo nudna robota, jeśli wykonywać ją ręcznie. Najlepsze grubością i długością przypominały bowiem dzisiejsze frytki. Ktoś na naszej ulicy przypomniał sobie, że przecież w kuchni zakładowej fabryki Maxa Bahra znajdowało się urządzenie, którym zarówno ziemniaki, jak i buraki cukrowe można było pociąć w odpowiedni kształt. Kierowniczka kuchni zgodziła się, byśmy użyli tego urządzenia. I tak oto szóstka dorosłych ludzi bez

wartego wzmianki doświadczenia w produkcji syropu stała w otoczeniu trójki dzieciaków i sześciu worków pociętych buraków cukrowych. Podtrzymywany drewnem ogień rozgrzał miedziany kocioł. Wrzuciliśmy do kotła pierwszy ładunek, waliśmy wodę i zaczęliśmy mieszać, jakby nas kto gonił.

I proszę, udało się: gorąca woda rozmiękczyła buraki. Wytworzoną w ten sposób breję przeciskaliśmy przez prasę, aż wypłynął z niej cały cienki, brązowy sok. Następnie trzeba było ten półprodukt ponownie postawić na ogniu, by zgęstniał do konsystencji syropu.

I wtedy stało się.

„Uczniowie czarnoksiężnika“ (ballada Johanna Wolfganga Goethego o „Uczniu czarnoksiężnika” była doprawdy scenariuszem tych wydarzeń) nieumiejętnie dozowali ogień, przedobrzyli – i ciemnobrązowy wywar nagle zaczął kipieć. Nie starczało łyżek, by wszystko wylać... wszak ja jestem jak w powodzi, nie ma temu końca, miary, [syrop] progi już przechodzi – i tak gęsta, brązowa, słodka, gorąca breja spływała po ceglanej ścianie pieca ... już zalane ganki, schody ... aż nasze zelówki zaczęły przyklejać się do podłogi*¹.

W końcu jednak uratowało się tyle syropu, że mama aż do 29 stycznia 1945 codziennie robiła nam z niego kanapki.



Gorzów przed rokiem 1945 (fot. Kurt Ehrhardt)

Oprócz historii z burakami trzy wydarzenia jesieni 1944 r. zasługują na miano kulminacyjnych.

Po pierwsze były to dwutygodniowe wykopki naszej klasy u jednego z chłopów we wsi między Gorzowem a Kostrzynem. Ziemiaki wykopywała odpowiednia maszyna, a my zbieraliśmy je do koszy. W przerwach siadaliśmy na skraju pola, spoglądaliśmy na przeorane, jesienne ziemniaczane pole, a gospodyni częstowała nas pysznymi, grubo posmarowanymi pajdami z kiełbasą; ona i jej mąż sami ubijali masło, wyrabiali kiełbasę i piekli chleb. Na kolację zajadaliśmy się w ich chałupie zupą owocową. Zaś na podwórku stało drzewo pełne dojrzałych, żółtych, soczystych gruszek, które wolno nam było strącać i jeść. Udało się zachować równowagę między twardą robotą w polu na świeżym powietrzu a obfitym, pożywным jedzeniem, dzięki czemu nikt nie narzekał, że wszyscy

1 Fragmenty ballady J. W. Goethego pt. „Uczeń czarnoksiężnika” („Der Zauberlehrling”) w tłumaczeniu Kazimierza Brodzińskiego (przyp. tłum.)

– czternastu chłopców z naszej klasy, przyzwyczajonych do lepszych łóżek – musieliśmy spać w jednym dużym pomieszczeniu na kłujących siennikach.

Drugie wydarzenie to powołanie mojego ojca w grudniu 1944 r. na szkolenie volkssturmu w Czechosłowacji. Wiemy, że jechał przez Wiedeń, ponieważ zachował się list połowy mojej matki z 10 grudnia 1944 r. do „maszynisty Kurta Erharda, numer poczty połowej 17 230” (a zachował się, ponieważ jako „niedoręczalny” wrócił do Gorzowa), a którego fragmenty brzmią: Kochany Kurcie! Wczoraj dotarła Twoja przemiła kartka z Wiednia. Jak sobie poradziłeś z tymi opóźnieniami w dostawach żywności? Jutro pewnie też dostanę pocztę od Ciebie. Bardzo się cieszę, że tak pilnie do nas piszesz, ale przecież i my nie pozostajemy Ci dłużni. Mamie było dziś zimno, więc wyszliśmy z domu. Było dopiero wpół do drugiej, kiedy zaczęliśmy spotykać ludzi z choinkami, nam też udało się wystać jedną w kolejce. Ponieważ była piękna, słoneczna pogoda, poszliśmy na spacer do Parku Słowiańskiego. (Czyżby mama zgapiła coś od swego pięcioletniego syna Dietera, któremu sam Pan Bóg kazał chodzić na spacer przy pięknej pogodzie?) Największą radość sprawiły oczywiście zabrane w tajemnicy pierniczki. Teraz dzieci bawią się jeszcze, a potem idą wcześniej spać. Wczoraj spały już o 7, więc mogłam trochę odpocząć, zwłaszcza że K. (dokwaterowany do nas przymusowo z Berlina) wyszedł. Po południu poszłam do kina na jakiś prastary film. W szatni straszny bałagan – „Arzt aus Leidenschaft” z Karin Hardt, Söhnker i Schönhals, ale miło było obejrzeć film... Spotkałam panią Guteruth, rozplakała się i powiedziała, że Dieter znosi to wszystko najgorzej (chodziło zapewne o „bohaterską śmierć” jej męża i reakcję syna). I tak wszędzie bieda i lament. Ponoć wczoraj znów było bombardowanie Berlina. K. wszystko jutro opowie. Trzymaj się zdrowo. Pozdrawiam i całuję z całego serca – Twoja Almchen.

Kiedy ojciec wrócił ze szkolenia, przywiózł starą walizkę, bardzo ciężką, której nigdy dotąd nie widzieliśmy. Był bardzo tajemniczy, położył walizkę na sofie w dużym pokoju i otworzył ją przed oczami zadziwionej rodziny: z radosnym niedowierzaniem patrzyliśmy na soczystą szynkę i pachnące kiełbasy – rzeczy, których nie widzieliśmy przez wiele miesięcy i o których istnieniu ledwie pamiętaliśmy.



Most Gerloffa ok. 1928 (fot. Kurt Ehrhardt)

Trzecim ważnym wydarzeniem przed Bożym Narodzeniem 1944 r. było przedstawienie „Peterchens Mondfahrt” w niewielkim, lecz przepięknym teatrze miejskim w Gorzowie zbudowanym w 1925 r. w stylu rokoko. Scena zamieniła się w kolorowy świat bajek, jakiego nigdy przedtem nie widziałem. Wydaje mi się, że pamiętam także zieloną sznurową drabinkę, która znikąca gdzieś w górze, za kulisami, a po której Piotruś, bohater bajki, wdrapywał się chyba na księżyc². To również było niezapomniane przeżycie.

Boże Narodzenie 1944

Im bliżej było Świąt, z tym większym naciskiem wypytywaliśmy, moja siedmioletnia siostra Ilse, zwana w gorzowskim dialekcie „die Quade” („Mała”) i ja, cóż też przyniesie nam tym razem św. Mikołaj. Wydawało nam się, że odpowiedź wskazywała na coś zupełnie wyjątkowego i dlatego z rosnącą niecierpliwością czekaliśmy na Wigilię.

W tym roku rodzice ponownie odprawili niezapomniany i cudowny rytuał, który stworzyli specjalnie na ten najpiękniejszy w roku dzień – 24 grudnia. Powtarzali go rok w rok aż do śmierci mojego ojca, a więc jeszcze przez 30 lat: około 13.00 jedliśmy skromny obiad (np. zupę); o 14.00 ojciec zamykał się w dużym pokoju, by w samotności ubrać choinkę. Próby podglądania go przez dziurkę od klucza zawsze spaliły na panewce, ponieważ ojciec zawsze zasłaniał ją od swojej strony.

Na nabożeństwo bożonarodzeniowe szliśmy na 17.00 do oddalonego o 800 m kościoła luterańskiego (dziś kościoła Chrystusa Króla). Wokół leżało zawsze mnóstwo śniegu, który wzmacniał atmosferę świąt. Kiedy nasza piątka wracała do domu, ojciec samodzielnie zapalał świece. Wtedy dopiero wolno nam było wejść do pokoju, gdzie nasze oczy cieszyła błyszcząca choinka, a pod nią – prezenty. Ojciec siadał przy pianinie i grał „Cichą noc”, którą nasza piątka śpiewała na stojąco.

Dopiero wtedy otwieraliśmy prezenty. Radosne podniecenie utrzymywało się przez cały wieczór. Jedliśmy orzechy, ciastka upieczone przez matkę; była też mała kolacja, np. sałatka ziemniaczana z serdelkami. (Świąteczny obiad – z pieczoną gęsią – jedliśmy zawsze pierwszego dnia Bożego Narodzenia.)

Jednak 24 grudnia 1944 było inaczej.

Kiedy weszliśmy do dużego pokoju, zobaczyliśmy błyszczącą, świecącą choinkę, a „zupełnie wyjątkowy prezent” okazał się średniej wielkości lakierowaną na biało szafą do dziecięcego pokoju. Był to mebel ręcznej roboty wykonany w stolarni w fabryce juty.

Zastanawiałem się nad tym pozornie niezrozumiałym zachowaniem rodziców i uznałem, że było to postępowanie zgodne z luterańską nauką o „jabłoni” („Nawet gdyby jutro miał być koniec świata, jeszcze dziś zasadzę jabłoń.”) Bo przecież, tak przynajmniej sądziłem, ojciec musiał wiedzieć, że sowieckie wojska wkrótce zajmą Landsberg – a mimo to zamówił szafę.

Ponownie zastanowiłem się nad tym w roku 2006 (ojciec zmarł w 1975, mama – w 1990) i chyba teraz jestem bliższy prawdy. Najwyraźniej aż do poranka 30 stycznia landsberczycy zupełnie nie spodziewali się, że będą musieli opuścić miasto na zawsze. Spodziewali się oczywiście, że Armia Czerwona w swej drodze do Berlina przyniesie Landsbergowi krew i łzy. Ale byli przekonani, że potem wrócą i że życie potoczy się dawnym torem – a nowa szafa bardzo by się wtedy przydała. Chyba tak właśnie myśleli moi rodzice.

2 Była to inscenizacja utworu Gerda von Bassewita (1878-1923) pt. „Peterchens Mondfahrt”, autora związanego z regionem gorzowskim przez fakt, iż jego rodzina przez pewien czas posiadała majątek w Lubnie koło Bogdańca (przyp. Zbigniew Czarnuch).



Autor z siostrą 1944

Oczywiście dla mnie i mojej siostry był to absolutny szok: jak można na Boże Narodzenie dawać dzieciom w prezencie szafę!

Potem ojciec ze wszystkimi szykanami przekazał dziesięcioletniemu synowi klucz do szafy, bo otwierał on wrota do wszystkich pozostałych prezentów: rodzice ułożyli je po prostu w środku. Rozczarowanie faktem, że prezentem była szafa, było tak wielkie, że pozostałe prezenty nie znalazły naszego uznania – z dwoma wyjątkami: moja siostra Ilse dostała między innymi strój kąpielowy; była tak zachwycona, że tej pierwszej nocy chciała go założyć pod piżamę – a mama chętnie zgodziła się na ten dziwny kaprys.

Jednak szok spowodowany przez szafę został niemal zupełnie zapomniany, kiedy dzieciom zaprezentowano prawdziwie wymarzony prezent: jesienią 1944 roku miłość ojca do narciarstwa nabrała takich rozmiarów, że zlecił fabryce juty wykonanie jeszcze jednego prezentu, nart dla obojga dzieci³.

W tę ostatnią Wigilię w Landsbergu racuchy i orzechy miały nieco mdły posmak. Uczucia, które wywołało w nas zamieszanie z prezentami, myśli związane ze zbliżaniem się sowieckiego frontu nie pozawalały cieszyć się świętami. Na zdjęciach wykonanych tamtego wieczora siedmioletnia dziewczynka i jej dziesięcioletni brat spoglądają z napięciem i rozczarowaniem – jak dzieci, którym w Boże Narodzenie podarowano szafę na ubrania.

Muszę jednak powrócić do nart, które sprawiły nam rzeczywistą radość w tę Wigilię 1944 r. Świetnie potrafię sobie uświadomić, jakie swoje marzenie pragnął spełnić mój ojciec, dając nam taki prezent: sądził, że po zakończeniu wojny, kiedy tylko powróciłaby odrobina normalności, wspaniale byłoby zabrać dwójkę swoich dzieci na wzgórze koło Wieprzyc i

³ W pierwszych latach pracy na stanowisku księgowego w fabryce Maxa Bahra ojciec realizował swoje hobby, pracując w warsztatach fabryki. Teraz zlecił w stolarni wycięcie z drzewa gruszy desek w kształcie nart. Końcówki zostały fachowo wygięte nad gorącą parą, pokostem uodporniono drewno na wodę. W ślusarni z grubej blachy przygotowano wiązania i przykręcono do desek. Pachnące jeszcze garbarnią kawałki świńskiej skóry pocięto na rzemyki, którymi następnie wykończono wiązania – wszystko zgodnie z aktualną technologią produkcji nart (przy. autora).

wprowadzić je w tajemnice biegu zjazdowego, nauczyć je „telemarku” – czyli wynalazku norweskich narciarzy, dzięki któremu zjazd można zakończyć powoli ostrym zakrętem.

Stało się jednak inaczej. Przed budynkiem biurowym fabryki juty na Max-Bahr-Strasse (dziś ul. Fabryczna) znajdował się ok. 20-metrowy stok prowadzący do nadwarciańskich łąk. Moja siedmioletnia siostra i ja kilkakrotnie z radością zjeżdżaliśmy tam na naszych nowych nartach. Bo jednej rzeczy nie brakowało tamtej zimy – śniegu.

30 stycznia 1945 r. „deski“ zostały w piwnicy na Horst-Wessel-Str. (dziś Wawrzyniaka).

Nasz styczeń 1945 roku

15 stycznia 1945 mój ojciec został zwerbowany do volkssturmu i wraz z 14 innymi starszymi mężczyznami przewieziony do oddalonej o 17 km wsi Trebisch (Trzebiszewo). Stamtąd musieli w dziesięciostopniowym mrozie przedrzeć się przez pokryte śniegiem łąki w kierunku wschodnim, do wybudowanego w wale nadwarciańskim bunkra „Panzerwerk Nr. 894”, do którego zostali wetknięci – to chyba najlepsze określenie sytuacji, gdy musieli przeczolgiwać się do wnętrza przez drzwi o wysokości 110 cm. Hitler kazał wybudować te bunkry w 1935 r.; do stycznia 1945 stały puste.

Kilka szczegółów pobytu w bunkrze ojciec przekazał nam w dwóch listach i na kartce pocztowej, których treść brzmi (we fragmentach):

koło Tr. ⁴, 20.1.45

Najdroższa Almchen! Piszę do Ciebie tych kilka słów przy nędznym świetle⁵ (...) Tu, w tym naszym śmierzącym, dla was chyba nie do wytrzymania pomieszczeniu jest przynajmniej ciepło. Nakradliśmy drewno, żeby oszczędzić węgiel. Do przedwczoraj latrynę stanowił zupełnie odkryty dół. Potem znaleźliśmy oddalony o jakieś 600 m niewielki szalas myśliwski. Wspólnie z pewną grupą szturmową przenieśliśmy go bliżej. I tak podczas naszych „ważnych czynności” za dnia chroni nas on przynajmniej przed wiatrem. Dziś po południu wrócił zastępca szefa kompanii, który był chory. Ja jednak zostałem tutaj, bo nie mam ochoty jeszcze raz się przenieść. Ludzie tutaj są całkiem w porządku. – Żebym mógł szybko dostać pocztę także od Ciebie, pisz proszę na adres pana K. E., obecnie u pana Conrada (2) w Trzebiszewie, powiat Gorzów Wlkp.

Treść kartki pocztowej była następująca:

Tr., 22.1.45 w południe. Kochana Almchen, kochane dzieci, właśnie chciałem zatelefonować, ale „rozmowy prywatne” są zakazane. Dotarli tu uciekinierzy z Szamotuł i okolicy. Sam z nimi rozmawiałem. Krowy zostały, mają być przegonione, jeśli sytuacja się pogorszy. Tam wszyscy mężczyźni I i II kategorii zostali powołani do volkssturmu. Mają nam tu jeszcze dowieźć wielu ludzi z Gorzowa. Przypuszczalnie nie dotrzemy jeszcze do domów na sobotę (27.1.). Bądźcie spokojni, wszystko będzie dobrze.

Może jednak uda mi się przyjechać już pod koniec tygodnia. – Właśnie ćwiczyłem posługiwanie się miotaczem ognia. Dotarło dziś do nas jeszcze 3 mężczyzn, razem jest nas 18.

Tego samego dnia otrzymaliśmy jeszcze kartkę pocztową od 87-letniego dziadka Moritza (ojca mojego ojca), skierowaną do mojej matki:

4 Wolno było podawać tylko nazwę miejscowości: „Koło Tr.(zebiszewa)”, a nie „Bunkier numer 894”, dlatego przemilczano fakt, że autor listu pisząc go siedział w bunkrze. Przecież wiadomości członków volkssturmu mogły dostać się w ręce szpiegów albo nawet samego wroga, który dowiedziałby się, jaki jest numer bunkra i dzięki temu wygrałby wojnę (przyp. autora).

5 Owo „śmierzące pomieszczenie” z „nędznym światłem” to pomieszczenie mieszkalne i sypialne bunkra, betonowa cała wielkości ok. 21 m², bez okien, w której wegetowało 15 do 18 mężczyzn. Ściany tego pomieszczenia skonstruowano z grubego na metr betonu (przyp. autora).

Halle an der Saale, 22.1. 45

Droga Synowo!

Ponieważ ze względu na ponowne powołanie Kurta nie wiem dokładnie, co się z nim dzieje, proszę Cię o niezwłoczną informację, czy już wyjechał z Gorzowa, czy może jeszcze jest w domu. Nie chcę żyć w niepewności, chcę się uspokoić.

Dlatego piszę do Ciebie, bo przypuszczam, że Kurta w ogóle już nie ma w G. Przez Grete (chodzi o ciocię Gretchen, siostrę mojego ojca) przesłałem malutki łańcuszek dla Eschen (mojej siedmioletniej siostry), zapomniałem go przekazać na Boże Narodzenie, czy dotarł?

Serdecznie pozdrawiam Twój teść.

Następnego dnia dotarł list ojca do mamy:

Trzebiszewo, 23. 1. 45 1/2 15 h

Najdroższa Almchen, rozmawiałem tu na miejscu z dowódcą kompanii Kleistem. Pomimo że poprzedni zastępca dowódcy wrócił, zostałem z rozkazu batalionu mianowany zastępcą. Znow przedziera się do nas mnóstwo uchodźców. Na początek zerwałem na nogi wszystkich mieszkańców Trzebiszewa; kazałem im posypać drogę popiołem itp., bo biedne konie ślizgały się jak po lodowisku. Kazałem przyjść do Cafe Conrad lokalnemu szefowi NSV⁶. Jeden z koni drżał z wycieńczenia jak osika. Zadbałem o to, by konie znalazły się w stajni, a ludzie dostali zakwaterowanie. Pewna kobieta z 6 dzieci chciała mi z wdzięczności wręczyć pieczonego kurczaka. Nie przyjąłem go, dzieci będą go bardziej potrzebować. Przyjechali z Wroniek, Szamotuł i okolic, także z powiatu międzychodzkiego (Birnbaum). Międzychód ma być ewakuowany. Dzieci i kobiety uciekają też z Piły (Schneidemühl).

Od niedzieli jest tutaj 3. i 4. kompania volkssturmu. Ja należę do 2. kompanii. Mój dowódca batalionu nazywa się Preuß (jest nauczycielem), adiutant dr Hering ze szkoły budownictwa wiejskiego, a lekarz – dr Gleichmann. Dziś rano szkoliłem na dworze ludzi z naszego bunkra, jak obsługiwać ciężki karabin maszynowy. Całkiem nieźle wszystko pamiętam. Wczoraj wieczorem pewien uciekinier z Wroniek opowiadał, że stracił po drodze ojca (80 lat) i matkę (65 lat). Widział ponoć, jak jakaś matka trzymała na rękach dwuletnie dziecko i mówiła do niego: Helga, Helga, Helga – ale dziecko było zamarznęte. Daj Boże, aby to nieszczęście zatrzymało się przed bramami Gorzowa⁷! Bo dokąd mielibyście pójść? Pewnie do Halle – ale czy pociągi w ogóle jeżdżą?

Córka tutejszego właściciela kawiarni potrzebowała dwóch dni, żeby dojechać z Piły. Pociągi są przepelnione, dzieci niemal duszą się w ścisaku⁸.

Złożyłem wniosek, żeby poszczególni członkowie kompanii, o ile nie zostaniemy zwolnieni, mogli w grupach pojechać do domów, przywieźć bieliznę.

A więc, Kochana, staraj się nie okazać niepokoju wobec dzieci. Pozdrawiam i całuję najserdeczniej wszystkich, a w szczególności Ciebie – Twój Kurtel

6 Nationalsozialistische Volkswohlfahrt – Narodowo-Socjalistyczna Pomoc Społeczna (przyp. autora).

7 Typowy przypadek psychopatologii życia codziennego: poszukiwanie nadziei nawet w irracjonalności! (przyp. autora).

8 Po ponownym przeczytaniu tych dwóch zdań w maju 2006 r. zadzwoniłem do pani Marianne Geppert, z domu Conrad, jednej z trzech córek właściciela kawiarni Conrad w Trzebiszewie. Mieszka ona w Allmersbach koło Stuttgartu. Preczytałem jej te zdania. „Siostra tutejszego właściciela kawiarni” – to była ona! Przyjechała właśnie po dwóch dniach podróży z Piły i opowiedziała swemu ojcu o „przepelnionych pociągach i niemal zaduszonych dzieciach”, a mój ojciec stał zapewne przypadkowo w kawiarni i wszystko słyszał! (przyp. autora).

Po Bożym Narodzeniu szkół już nie otwarto. Do kuratorium dotarło chyba, że nie ma to już sensu. Ilse i ja bawiliśmy się na śniegu. Między innymi zjeżdżaliśmy na naszych nartach z leżącej na skos od Horst-Wessel-Str. (dziś Wawrzyniaka) dziesięciometrowej góry w parku Lützowa (dziś park Wawrzyniaka).

Ktoregoś razu w zabawie przeszkodził nam strażnik, który próbował nas przepłoszyć – najwyraźniej w przekonaniu, że musi utrzymywać porządek w zaśnieżonym parku czasu wojny. Pewien przechodzący przypadkiem oficer wehrmachtu zmusił go, by pozwolił nam, dzieciom, bawić się wedle naszej fantazji.

Matka i babcia przygotowywały ewakuację. Zaczęły od zdobycia dwóch nowych, kwadratowych worków na cukier, pochodzących z wojennej produkcji fabryki juty i składających się z cienkich pasków papieru, wzmocnionych nowoczesnym włóknem sztucznym. Wówczas, gdy wokół szalała wojna, nie docierały dostawy juty z Indii, a pomysł Maxa Bahra, by uprawiać jutę w Niemczech mimo wielu prób i nakładów nie powiódł się. Te worki były bardzo popularne wśród gorzowskich kobiet, ponieważ sztuczne włókna świetnie nadawały się na przędzę. Matka i babka wycięły zatem z owych worków dwa pasy, tak że przybrały one kształt kwadratów. Następnie naszyły oba te paski na jednej stronie krzyża – i od biedy można było uznać tę kreację za plecak ze stelażem.

Zapewne w Cafe Conrad w Trzebiszewie, niecałe dwa kilometry od swojego bunkra, ojciec napisał 28 stycznia 1945 r. kartkę pocztową do swojej siostry, „Frau Stelli Strauch, (10) Halle-Saale, Paul-Berck-Str. 138 III”:

Trzebiszewo, 28.1.45,

Moi Kochani!

Zostajemy tu na służbie. Wydaje się, jakby Bóg sprzymierzył się z bolszewikami⁹. Raz po raz słychać już grzmot dział. Czerwień poranka, czerwień poranka... ?¹⁰ Straszna jest myśl o dzieciach. Tylko o nie się martwię. O siebie już się nie boję. Almchen niestety leży w łóżku z niewielką gorączką. Wszystkie pociągi są przepełnione. Być może spotka mnie to szczęście, że będę mógł jeszcze jeden dzień spędzić w domu.

Żegnajcie, pozdrawiam i całuję serdecznie wszystkich – Wasz Kurt

Nadawca K. E. Cafe Conrad (2) Trzebiszewo (powiat Gorzów Wlkp.)

Cud rzeczywiście się zdarzył, ojciec dostał urlop na 29 i 30 stycznia i dzielące nas 17 km przebył pociągiem. Cytowaną kartę musiał wrzucić do skrzynki w Gorzowie, ponieważ jest na niej tamtejszy stempel z 29 stycznia. Opuściła Gorzów najpóźniej 30 stycznia, gdyż późnym wieczorem tego dnia wojska sowieckie dotarły do miasta.

Gdyby zginął w drodze powrotnej do bunkra lub w niewoli, kartka ta byłaby jego ostatnim znakiem życia. Zapewne liczył się z tym, gdy pisał: „Morgenrot ...” ? Jak strasznie musiał się czuć w tym momencie? I jak strasznie musiały się czuć miliony Polaków i miliony ludzi innych narodowości, którzy w tym samym momencie przeżywali jeszcze większe tragedie?

9 Czysty defetyzm! Na pocztówce do Halle! Czyżby ojciec nie zdawał sobie sprawy z zagrożenia? Czy może raczej niczym człowiek, któremu doskwiera choroba morska, doszedł do punktu, gdy było mu już wszystko jedno? (przyj. autora).

10 Nawiązanie do pierwszego wersu wiersza „Reiters Morgengesang“ Wilhelma Hauffa: „Morgenrot, leuchtest mir zum frühen Tod?” („Czerwieni poranka, czy zwiastujesz mi szybką śmierć?”) Cóż musiał myśleć „kochany dobry tata” (45 lat), jak nazwałem go trzy dni później w liście z 31 stycznia 1945, kiedy pisał te słowa? Czy naprawdę „o siebie już się nie boję”? Czuł zapewne, że zostało mu jeszcze może 36 godzin życia. (przyj. autora).

Jedyne wydarzenie, które pamiętam z następnych dwóch dni, było związane z pistoletem ojca. Gdzieś go dla siebie zdobył, ale nigdy jeszcze z niego nie strzelał. Zamknął się więc w kuchni, a my czekaliśmy w korytarzu na salwę. Strzelił w ścianę zewnętrzną, bo nie uszkodził żadnych przedmiotów w kuchni.

Już 29 stycznia 1945 w Gorzowie panował chaos. Przyczyniały się do niego grupy uchodźców, kręcące się oddziały wehrmachtu, spieszący we wszystkich kierunkach członkowie kierownictwa NSDAP. Jednocześnie wszyscy świadkowie tych wydarzeń potwierdzają, że wieczorem 29 stycznia nikt w Gorzowie nie wiedział, jaki los czeka jego mieszkańców w najbliższych dniach. Bo jeszcze ok. godz. 10 wieczorem, 29 stycznia „Drahtfunk” (radiowęzeł) – rodzaj lokalnego radia – informował, że nie ma powodów do niepokoju: nie ma potrzeby ewakuować miasta.

Miejscowe kierownictwo NSDAP albo otrzymało zalecenie, by głosić te uspokajające wieści, albo nie zostało poinformowane ani przez geobelsowskie ministerstwo propagandy w Berlinie, ani przez wehrmacht o rzeczywistej sytuacji na froncie. Tymczasem Armia Czerwona znajdowała się w tym momencie ok. 20 kilometrów od rogatek miasta.

W naszej rodzinie ustalono już: na drogę założę buty narciarskie mojej mamy, bo ona sama miała inne zimowe buty. Zasnęliśmy beztrzesko.

Potem przyszedł wtorek 30 stycznia 1945 roku, dzień w którym skończyło się moje dzieciństwo. Poniższe słowa już po wielekroć spisywałem w duchu i tylko rzadko wypowiadałem.

30 stycznia 1945: Przygotowania do „ucieczki” z Gorzowa

Wszystkie te wydarzenia zdawały się być przeżywanym na jawie koszmarem. O 6 rano zadzwonił dzwonek u drzwi. Mój ojciec otworzył. Na klatce schodowej stał chłopiec z Hitlerjugend i powiedział: „Kobiety i dzieci natychmiast na dworzec!”

Nie potrafię wyjaśnić, dlaczego ten chłopiec pojawił się u nas. Żaden z landsberczyków, których o to pytałem, nie słyszał o rozkazie dla członków Hitlerjugend, by szli od domu do domu i kazali kobietom i dzieciom spieszyc na dworzec.

Ogólny chaos w mieście w owym czasie, a być może także inne względy zadecydowały, że do wielu innych domów i na wiele innych ulic nie dotarł podobny posłaniec. Nasza rodzina znów miała szczęście.

Na dworze panował dziesięciostopniowy mróz. Ubraliśmy się – w zimowe poranki była to zawsze nieprzyjemna czynność, ponieważ dom ogrzewany był piecami kaflowymi, które nie chroniły przed nocnym spadkiem temperatury. Mama była tak chora, że miała trudności, by się ubrać. Ojciec chwycił worki przekształcone w dwa nowe plecaki i włożył do nich, zgodnie ze wskazówkami mamy, dwa dziecięce kocyki i bieliznę – nie wiedzieliśmy, jak długo będzie trwała podróż, jak długo będziemy na dworze, a podwójna warstwa bielizny wyjątkowo skutecznie chroni przed zimnem.

Ilse opowiedziała mi w 2001 r., że już kilka dni wcześniej przygotowano niewielką torbę z najważniejszymi dokumentami (paszportami, książeczkami oszczędnościowymi, obligacjami rządowymi i umową kupna volkswagena, który miał być dostarczony w 1948 r.). W pośpiechu i podnieceniu – które mimo całego zewnętrznego opanowania i mechanicznego przebiegu czynności były nie do uniknięcia – torba ta została gdzieś w domu.

Mama latem i jesienią 1944 r. zawekowała dużą ilość owoców, traktując je jako żelazną rezerwę – do 30 stycznia 1945 udaremniała wszelkie próby dobrania się choćby do jednego słoika. Nawet w Boże Narodzenie nie zrobiła wyjątku. I właśnie gdy mieliśmy już wychodzić, po raz ostatni w Landsbergu nad Wartą odezwała się mentalność dziecięciolatka: „Mamusi, czy mogę teraz otworzyć słoik z wiśniami?” Mama najwyraźniej

zrozumiała bezcelowość ochrony wszystkich tych skarbów i wyraziła zgodę. Wepchnąłem sobie do ust trzy pełne łyżki stołowe wiśni, łyżkę zostawiłem w stoiku.

Spojrzelśmy po raz ostatni na brązowe drzwi mieszkania (brązowe jeszcze w roku 2006) i z pierwszego piętra, przez zdobny kafelkami korytarz wyszliśmy ku blademu światłu poranka. Obydwa plecaki, model „Mama i Babcia”, załadowaliśmy na nasze sanki (na których Ilse i ja często bawiliśmy się na śniegu), po raz ostatni przekroczyliśmy Horst-Wessel-Strasse przy słupie ogłoszeniowym i wzdrygając się na myśl o zbliżających się Rosjanach szliśmy po zmarzniętym śniegu przez park Lützowa (dziś Wawrzyniaka) do mostu Gerloffa (dziś Staromiejski) na Warcie. Ojciec w mundurze volkssturmu, mama, babcia, Ilse i ja.

Powody do szczególnego zmartwienia miała moja 64-letnia babcia, ponieważ wyruszyliśmy tak niespodziewanie, że poprzedniego wieczora nie zaszła nawet do swego oddalonego o 400 metrów mieszkania na Horst-Wessel-Str. 16, by chociaż zabrać parę rzeczy.

Na moście niemal dotykaliśmy krytych wozów, o których pisał Gottfried Benn – wypadły z nich martwe dzieci¹¹. Z prawej na ciemnym niebie widzieliśmy jasną łunę płonących Strzelec Krajeńskich (Friedeberg), niewielkiego miasteczka oddalonego o 15 km od Gorzowa. Również ten widok musiał być szczególnie trudny dla babci. Kiedy była dzieckiem, na oczach całej rodziny od uderzenia piorunu zapaliły się należące do jej ojca, leżące opodal Birnbaum (Międzychodu) stajnie i stodoły. Często opowiadała o tym przeżyciu – tak wstrząsnął nią jako dzieckiem widok płonącej ojcowizny.

Napięcie związane z czekającym nas już za chwilę trudnym pożegnaniem oraz niepewność – dokąd zawiozą nas z dworca – niemal przyciskały nas do ziemi, gdy tak przebijaliśmy się przez śnieg. Jednocześnie panowała atmosfera opanowania, nikt nie odczuwał, że oto żegna się z Gorzowem na zawsze, było to raczej przekonanie, że „musimy po prostu przez to przejść”.

Przecież jeszcze poprzedniego wieczoru przekonywano nas, że nie ma potrzeby ewakuować miasta! Dlatego nikt nie zastanawiał się nad tym zbyt głęboko, dla landsberczyków była to po prostu tymczasowa ewakuacja, aby uniknąć zgniecenia przez machinę wojenną, która miała pojawić się w mieście. Wszystkim wydawało się oczywiste, że po wojnie wrócą i zamieszkają w dotychczasowych domach.

I tak czuliśmy, że ostatecznie – choć rzeczywiście tylko ostatecznie – pod opieką dobrych mocy... i ufnie oczekiwaliśmy na to, co ma przyjść, jak sformułował to proboszcz Dietrich Bonhoeffer. (Na rozkaz Hitlera został on, jako członek ruchu oporu, powieszony w obozie koncentracyjnym Flossenburg 9 kwietnia 1945 roku).

O ósmej rano przed dworcem walały się po śniegu bezpieczne sanki. Inni mieszkańcy miasta, również w przekonaniu że opuszczają miasto tylko tymczasowo, przywieźli na nich swój dobytek. Również oni nie zdawali sobie sprawy z faktu, że czekająca ich podróż była jedynie początkiem losu uchodźcy.

W holu dworca zobaczyłem coś, co zaparło mi dech w piersiach – stała tam cała piramida niezliczonych sanek. Leżały jedne na drugich jak stos na podpalenie. Rzuciliśmy nasze sianie na ten stos – z krótkim przeczuciem ostateczności – i zostaliśmy skierowani w górę, na peron, na którym stał już kolejny gotowy do odjazdu pociąg. I znów okazało się, że Bóg czuwa nad naszą rodziną: pociąg ten miał zostać skierowany do Halle, tam gdzie mieszkała siostra ojca i jej mąż. Oznaczało to, że jeśli nie zostaniemy zatrzymani przez jakieś bombardowanie, to jeszcze tego samego wieczora, 30 stycznia, zapukamy do ich drzwi.

11 Gottfried Benn (1886–1956) – lekarz, poeta, publicysta, który w latach 1943–1945 przebywał jako lekarz wojskowy w koszarach w Landsbergu i tu napisał swój wybitny utwór pt. „Statische Gedichte”, skąd autor zaczerpnął podany cytat (przyp. Zbigniew Czarnuch).

Wsiedliśmy i załadowaliśmy plecaki. Mieliśmy jeszcze trochę czasu. Pociąg mógł odjechać dopiero wtedy, kiedy zdaniem kolejarzy nie dało się już doń nikogo wcisnąć.

Na peronie jakiś oficer wehrmachtu zorientował się, że ojciec jest żołnierzem volkssturmu, dał mu do ręki pistolet i powiedział: „Rozkazuję panu zastrzelić każdego mężczyznę, który będzie próbował wsiąść do tego pociągu”. Szczęśliwie nikogo takiego nie było. Ten epizod zupełnie umknął mej pamięci; opowiedziała mi go siostra Ilse w pięćdziesiąt lat później, w wieku 57 lat.

Pociąg ruszył. Cztery zeszytniałe twarze wpatrywały się przez dwa wąskie okna w mojego ojca, stojącego bezradnie na peronie, teraz opanowanego, pełnego samodyscypliny, głęboko skrywającego emocje. Pomachaliśmy mu, popłynęły łzy. Czy kiedykolwiek go jeszcze zobaczymy? Ponieważ nikt nie wiedział dokładnie, jak wyglądało wkroczenie Armii Czerwonej, nie mieliśmy poczucia, że unikamy jakiegoś wielkiego niebezpieczeństwa. Interesowało nas tylko jedno pytanie: Co będzie z naszym ojcem?

Poddał się woli Bożej i 30 stycznia 1945 roku spełnił to, co zawsze uważał za najważniejsze: spełnił swój obowiązek – rozumiany jako wierność i uczciwość, a nie jako żołnierska powinność. Poszedł jeszcze raz do naszego mieszkania. Wyprowadził z piwnicy rower i po trzydziestocentymetrowym śniegu pojechał szosą z powrotem 17 kilometrów w kierunku bunkra numer 894 wybudowanego w wale nadwarciańskim koło Trzebiszewa, z powrotem w bezkres śniegu. Zanim się ściemniło, zatrzymali go rosyjscy żołnierze, zaledwie 100 metrów przed Trzebiszewem. Wynika to ze szkicu, który ojciec narysował po wojnie. Rozpoznał czerwonoarmistów po białych ochronnych mundurach, natychmiast podniósł do góry ręce i zakrzyknął dwa słowa, które poznał jako osiemnastoletni żołnierz podczas pierwszej wojny światowej w Rosji: Pażalusta, pan, pażalusta! Jeden z Rosjan krzyknął wtedy do drugiego: Nie strzelaj, to Polak!

Nie zastrzelili go więc, nawet wtedy kiedy – już w kilka sekund później – zorientowali się w pomyłce. W tamtym czasie na całej drodze między Gorzowem a Trzebiszewem walało się tyle niemieckich trupów, że jeden więcej lub mniej nie zrobiłby już różnicy, dlatego cudem w moich oczach jest fakt, że Rosjanie swą nienawiść, której należałoby oczekiwać, nienawiść uzasadnioną, potrafili utrzymać w ryzach i darowali życie mojemu ojcu, temu samotnemu żołnierzowi volkssturmu.

Kilka godzin wcześniej i zaledwie kilkaset metrów dalej, w Trzebiszewie, Rosjanie złapali jeszcze jednego członka volkssturmu. To chyba był ten sam oddział Armii Czerwonej. Po krótkim przesłuchaniu kazali mu odejść i udało mu się przebić przez zaśnieżone lasy do Odry i na wolność. Jak nazywał się dowódca tego niewielkiego sowieckiego oddziału i gdzie w Rosji żyją jego potomkowie? Chętnie bym się tego dowiedział.

To, że mój ojciec przeżył tamten dzień – a więc zachowanie rosyjskich żołnierzy – pozwoliło mnie i ojcu przeżyć najpiękniejsze chwile naszego życia. Nie mam odwagi wyobrazić sobie, co stałoby się z moim życiem, gdyby ojca dosięgła wówczas jakaś kula. Ojciec pozostał pod Bożą opieką.

Wieczorem, 30 stycznia, jakiś sowiecki oddział zebrał pojmanych w okolicach Trzebiszewa żołnierzy volkssturmu i wehrmachtu ze słowami: „My duże straty, teraz was zastrzelić”. Rozpoczął się marsz w niepewność, w noc. Przy każdym postoju jeńcy sądzili, że to koniec. Nigdy się nie dowiedzieli, dlaczego „koniec” nigdy nie nastąpił. Dlaczego ten rosyjski oddział zadał sobie trud przeprowadzenia pod całonocną eskortą zbiorowiska 30 czy 50 niemieckich żołnierzy, by znaleźli się w „porządnej” niewoli – po tym wszystkim, co żołnierze ci zrobili od początku wojny na ziemi rosyjskiej, na terenach Polski i teraz, w samych Niemczech!?

Wczesnym rankiem 31 stycznia, w odległości 300 kilometrów od tych wydarzeń, w Halle, moja matka obudziła się nagle z koszmaru i powiedziała do nas: „Ktoś właśnie się z nami pożegnał”. Być może dotarła do niej myśl o śmierci, która kołatała się w głowie mojego ojca. Szczęśliwie był to tylko sen.

Nasza „ucieczka” z Gorzowa

Moja siostra wspominała jeszcze w 2002 roku, że nasz pociąg zatrzymywał się wielokrotnie z powodu ostrzału myśliwców oraz dwa razy, gdy siostry z Czerwonego Krzyża gdzieś na południe od Berlina, a potem dalej na zachodzie przyniosły nam zupę. Mama pisała o dobrych ludziach (patrz niżej). Podróż, która w normalnych warunkach trwała 5 godzin, tym razem przedłużyła się do 13.

O godzinie 23 zadzwoniliśmy do drzwi wuja Richarda i cioci Selli przy Paul-Berck-Str. 138 w Haale an der Saale, rzuciliśmy się sobie w ramiona mimo ogólnej niepewności i napięcia. Tak oto zakończyło się moje dzieciństwo.

12 listopada 2002 r., przeglądając stare listy przechowywane przez matkę, znalazłem jeden wysłany przez nią do męża „pocztą polową” 31 stycznia 1945 r., a więc dzień po przyjeździe do Halle. Jest na nim pieczętka „Zwrot”. Mama opowiada w nim o naszej podróży z Gorzowa do Halle:

Do zastępcy komendanta kompanii volkssturmu Kurta Ehrhardta, bat. 125 2. komp.

(2) Trzebiszewo, powiat Gorzów Wlkp.

Kochany Kurcie!

Dotarliśmy do Halle 30.1 o 11 wieczorem. Podróż minęła dobrze, jechaliśmy przez Frankfurt, Chociebuż, Torgau, Eilenberg. Wszystkie dzieci były naprawdę grzeczne. Poza tym w Gubinie i za Chociebużem dostaliśmy dwa razy coś do picia od dobrych ludzi. Byliśmy dzisiaj we wszystkich możliwych miejscach (zapewne w celu uzyskania kart zapotrzebowaniowych itp.) Zdrowie już mi dopisuje. Richard zadbał, abyśmy mieli tu wszelkie możliwe wygody. Mam nadzieję, że i u Was jest jeszcze spokojnie. Często o Tobie myślę! Być może szybciej, niż sądzimy, będziemy znów razem. Napisałam do Gabelicków (do Melsungen). (Przypuszczam, że mama zapytywała w tej korespondencji, czy jako osoby ewakuowane możemy teraz do nich przybyć – tak jak umawialiśmy się podczas naszej wizyty w Melsungen latem 1943 r. – po urlopie w Lesie Turyńskim). Żałuję, że nie zabrałam pościeli. Być może udałoby Ci się przysłać mi walizkę z pościelą, prześcieradłami i inną bielizną, ciepłymi butami dla dzieci i pantoflami dla mnie. (Brak mi słów. Kiedy szliśmy na dworzec, widzieliśmy płomienie nad Strzelcami Krajeńskimi, w odległości zaledwie 15 km – Armia Czerwona dotarła tam w ciągu trzech lat, przemierzając ponad 2000 km). Czy mama naprawdę przypuszczała, że Rosjanie zatrzymają się przy Strzelcach, żeby ojciec mógł jeszcze pojechać z Trzebiszewa do mieszkania, zapakować walizkę z bielizną, butami i pantoflami, wysłać ją kurierem wehrmachtu, jak robił to zawsze, niczym na ferie zimowe? Czy może raczej chciała w ten sposób ukryć strach i wzmocnić morale mojego ojca?). Czy jest szansa, że dostaniesz jeszcze dzień urlopu, jeśli w G. panuje jeszcze spokój? (I znowu: czy mama naprawdę przypuszczała, że w Gorzowie „wciąż jeszcze panuje spokój”, a jej mąż dostanie jeszcze dzień urlopu??

(Nie zapominajmy: w tym samym momencie, w którym chłopiec z Hitlerjugend zadzwonił do naszych drzwi o 6 rano 30 stycznia, dwaj towarzysze broni mojego ojca strzelali, siedząc w głębokim śniegu na swoim bunkrze nr 894, odnieśli rany w udo i łokieć, a dowódca bunkra, podoficer, został ranny w szyję, od czego zmarł w mękach kilka dni później. Tylko ten dzień urlopu 29 stycznia uratował mojego ojca przed podobnym

losem). Ale najważniejsze, żebyś Ty nam pozostał, wszystko inne nie będzie miało już znaczenia. Powiedz, gdzie mamy złożyć wniosek o przydziały rodzinne? (Mama chyba naprawdę wierzy, że jest na feriach – zadaje takie pytania mężowi, który raz po raz cudem uchodzi śmierci.) I czy mam próbować podjąć ostatnią pensję w filii magdeburskiej (firmy Max-Bahr AG)? I jak się ma sprawa z naszymi obligacjami państwowymi? Gdzie są? (Pewnie były w torbie, która została w mieszkaniu w Gorzowie...) No, wszystko będzie dobrze. Tylko pisz tak często, jak tylko będziesz mógł. Myślę ... o Tobie, pozdrawiam i całuję – Twoja Almchen.

Moja siedmio- i półletnia siostra Ilse napisała tuż obok:

Kochany Tato! Niech Ci się nic nie stanie. Serdecznie pozdrawiam – Twoja Ilsa A ja, dziesięcio- i półlatek, dodałem: Kochany, dobry Tatko! Bądź zdrów i wszystkiego dobrego od Twojego Dietricha¹².

Ojciec znalazł się w obozie jenieckim w Poznaniu. W czerwcu lub lipcu 1945 wraz z innymi zachorował na półpasiec, a rosyjska lekarka obozowa zwolniła wszystkich chorych w obawie, że zarażą innych jeńców i obsługę obozu.

Ojciec przedostał się najpierw do Halle an der Saale. Tam dowiedział się od siostry, że jesteście w Melsungen. I tak 17 sierpnia 1945 r. rodzina znów się zjednoczyła.

Posłowie

Opuściłem Gorzów – Landsberg – 30 stycznia 1945 r. Pierwsze 30 lat było dla mnie naprawdę straszne. W swojej własnej ojczyźnie czułem się obco i jak wielu innych uchodźców wzrastałem w poczuciu wykluczenia, ze świadomością że nie należę do tujejszych. Tylko w rodzinie znajdowałem ciepło.

W tamtych latach Gorzów wydawał się bardzo odległy. Przyjąłem do wiadomości fakt, że nie mogę już mieszkać w Gorzowie, a sytuacja międzynarodowa nie daje nadziei na jakąkolwiek wizytę.

Najważniejszym powodem był tu brak dialogu między Polakami a Niemcami wynikający z okrucieństwa lat wojennych. Okrucieństwa te były tak wielkie, że mogły skutkować tylko niemotą – która potem zamieniła się w nieufność, trwającą dziesięciolecia. Wszystko to było zrozumiałe i jak najbardziej uzasadnione. I w zdaniu tym nie ma żadnego „ale...”

W latach 1959–1965 pracowałem dorywczo jako niemiecki korespondent fińskiego dziennika „Satakunnan Kanssa” z Pori i dwukrotnie przeprowadzałem wywiad z Willym Brandtem. Myślę, że zgodziłby się ze mną, że jego gest pokory w Warszawie zawierał w sobie również ofertę przełamania tej niemoty i nieufności, ofertę nawiązania tego długiego dialogu, który prowadzi do bliskiej przyjaźni.

Ale niechże ten późniejszy laureat nagrody Nobla sam zabierze głos. W swoich wspomnieniach tak uzasadnia i wyjaśnia swój słynny gest (str. 214):

Według planu mojej warszawskiej wizyty miałem rankiem po przyjeździe dwukrotnie złożyć wieńce, najpierw przed Grobem Nieznanego Żołnierza. Tam złożyłem hołd ofiarom przemocy i zdrady. Na ekrany telewizorów i do światowych gazet trafiło jednak zdjęcie, jak klęczę – przed pomnikiem poświęconym żydowskiej dzielnicy i ludziom w niej poległym. Później wciąż pytano mnie, co miał znaczyć ten gest. Czy był planowany?

12 Nigdy przedtem ani nigdy potem nie nazwałem ojca „tatką”, nigdy nie podpisałem się jako „Dietrich”. Stało się to tym razem zapewne dlatego, że jako dziesięciolatek chciałem w tych najgorszych czasach pokazać ojcu, że godnie go zastępuję i próbuję być tak dorosły, jak to tylko możliwe. (przyp. autora)

Nie, nie był. Moi najbliżsi współpracownicy byli zaskoczeni w tym samym stopniu, co reporterzy i fotografowie, którzy stali w moim sąsiedztwie, w tym samym stopniu, co ci, którzy nie podeszli, bo nie oczekiwali „żadnych sensacji“. Niczego nie planowałem, ale opuściłem zamek w Wilanowie, gdzie mnie zakwaterowano, z poczuciem, że muszę w jakiś sposób wyrazić szczególne znaczenie hołdu przed pomnikiem Getta. W obliczu otchłani niemieckiej historii i pod brzemieniem milionów pomordowanych uczyniłem to, co robią ludzie, gdy zabraknie im słów. Nawet dziś, po dwudziestu latach, nie potrafię wyrazić tego lepiej, niż ów reporter, który napisał: „I potem ukląkł, ten, który wcale nie musiał, w imieniu wszystkich, którzy powinni, ale nie uklękli – bo się nie ważyli, bo nie potrafili, bo nie potrafili się poważyć.”

Tyle Willy Brandt.

Tym reporterem był Hermann Schreiber, dziennikarska legenda ze „Spiegla“. Tak genialne zdanie, które wywołuje gęsią skórę, może wyjść chyba tylko spod pióra majestatycznej, nieprzekupnej i uczciwej postaci, postaci zaiste czcigodnej.

Taki właśnie rodzaj zbliżenia przeżyłem osobiście w 1963 r., kiedy w siedzibie Narodów Zjednoczonych w Nowym Jorku poznałem Wiesława Górnickiego pracującego tam wówczas jako przedstawiciel Polskiej Agencji Prasowej. Było to jedno z tych rzadkich spotkań, przy których człowiek ma wrażenie, jakby znał tego drugiego od lat. Pan Górnicki stwierdził wtedy m. in., że w 1967 r. wraca do Warszawy. Nie zapomniałem o tym i w cztery lata później, w marcu 1967 r., napisałem do niego mój pierwszy list, który wysłałem do Nowego Jorku. Wystosowałem do niego i jego rodziny zaproszenie, by po drodze do Warszawy odwiedził mnie w Marburgu, gdzie wówczas mieszkałem.

Słowa „Szanowny Panie Górnicki“ zapisałem po angielsku, a on odpowiedział w tym właśnie języku 2 kwietnia 1967 r.; jego list zaczyna się następująco:

Drogi Dieterze (mam nadzieję, że nie przeszkadza Ci, że zwracam się do Ciebie per ty, bardzo bym się cieszył, gdybyś i Ty nazywał mnie Sławkiem, to zdrobnienie od mojego imienia. Tak jest mniej oficjalnie, przyjemniej i zdecydowanie bardziej odpowiada to mojemu nastrojowi).

Twój list bardzo mnie poruszył – znacznie bardziej, niż poruszyłoby mnie jakiegokolwiek podobne zaproszenie. Wiesz być może, że lata wojny spędziłem w Warszawie i w 1944 r. brałem udział w Powstaniu Warszawskim. Pomimo że mam dziesiątki zagranicznych przyjaciół, nie ma wśród nich właściwie ani jednego Niemca. I to z tego powodu Twój list wywarł na mnie i na mojej żonie tak wielkie wrażenie. Jak wiesz, takie rany nie goją się szybko – i mam tu na myśli nie oficjalną czy prywatną politykę, lecz nasze ludzkie uczucia. Jestem Ci wdzięczny, że napisałeś ten list; nie tylko za to, że nas zaprosiłeś, lecz za to, że uczyniłeś to z ważnych i zasadniczych powodów. Nie chcę wciąż tego powtarzać, ale mogę Cię zapewnić, że oto pierwszy raz w życiu spotkałem Niemca, który jest po prostu zainteresowany swoim polskim, żyjącym w tych samych czasach, bliźnim – kropka! – bez jakichkolwiek ukrytych motywów, zawodowych lub innych. Mam nadzieję, że będziemy mogli pogłębić ten temat, kiedy się spotkamy.

Jednak chcę Ci powiedzieć prosto i jasno, że Twoim krótkim listem udało Ci się dokonać tego, czego mimo dwudziestu lat starań nie udało się dokonać rządowi RFN – przynajmniej jeśli chodzi o moją osobę. Dzięki Tobie jakoś odzyskałem moje osobiste zaufanie do Niemców.

Tyle Wiesław Górnicki 2 kwietnia 1967 r. Spotkaliśmy się w Niemczech w 1967 i 1971 r., w Marburgu, Fuldzie i Akwizgranie. Potem kontakt się urwał.

I tak na następne 20 lat zamroziłem swe marzenie o odwiedzeniu Gorzowa, bo, jak się wyraził Lothar Loewe, istniała „pewna obawa przed nieznanym”. Nie otrzymałem też stamtąd żadnego zaproszenia, nikogo tam nie miałem. Dopiero w 1994 roku udało mi się zlokalizować Wiesława Górnickiego w Warszawie, ucieszył się bardzo, że może wraz z żoną odwiedzić mnie podczas moich 60. urodzin w Niemczech.



Wiesław Górnicki i autor w czasie spotkania w Fuldzie w 1967 roku

Jednocześnie wciąż jeszcze czułem tę „pewną obawę przed nieznanym” – i to dopiero Wiesław wpadł na ten pomysł podczas mojej pierwszej wizyty w Warszawie, w 1995 r.: „Chodź, jedziemy!”

Opuściłem Landsberg w 1945 roku pociągiem na zachód. Teraz wracałem do Gorzowa z małżeństwem Górnickich od południa samochodem, przez most na Kanale Ulgi – i tak znalazłem się od razu na Zamościu, tam gdzie 30 stycznia 1945 r. przy ul. Wawrzyniaka 73 zaczął się mój exodus.

Czułem się, jakbym niczym księżę obudził Śpiącą Królową – Gorzów. Odkryłem w sobie nowe pragnienie poznania starego Landsbergu, ale było to pragnienie, które Gorzów mógł spełnić.

Wszystko, czego pragnąłem, to:

– Przyjechać do Gorzowa, przejść się po jego ulicach i przypomnieć sobie wszystko, co dobre i co złe, wszystko, co się tu wydarzyło wtedy, za czasów mego dzieciństwa.

– Usiąść na ławce i przyglądać się ludziom, a potem pójść do kawiarni i wypić dwie filiżanki kawy, zjadając się kawałkiem gorzowskiego ciasta.

– Poznać kilku gorzowian, usiąść wraz z nimi w ogródku piwnym pod cieniem drzew, wypić piwo, warzone w pobliskim browarze, i porozmawiać o naszym dzieciństwie – ich w Polsce wschodniej, moim w Landsbergu, o Bogu, papieżu i ludziach, o całym świecie, i zapomnieć się w lekkości bytu.

– Obejrzeć w Teatrze im. J. Osterwy Króla Edypa w wykonaniu gorzowskiego zespołu (tak się potem stało!), nie znając ni w ząb polskiego... a mimo to rozumieć i bez tchu, zafascynowany, przyglądać się wydarzeniom na scenie.

– W tym samym teatrze cieszyć się koncertami Gorzowskiej Orkiestry Symfonicznej, dyrygowanej przez niezrównanego Szczepana Kaszyńskiego (i to również się spełniło!).

Od 1995 r. byłem w Gorzowie pewnie z siedem razy. „Pewna obawa przed nieznanym” znikła z prędkością, z jaką pęka bańka mydlana. Z taką samą szybkością uświadomiłem sobie, że jestem mile widzianym gościem. Gorzowianie, których poznałem, dziwili się wprawdzie nieco mojej obecności – jakby zobaczyli rzadkiego ptaka – ale od razu dali mi odczuć, że jestem w Gorzowie równie mile widziany jak i oni sami.

Ciężar, który czułem na plecach przez pierwszych 30 lat, zniknął. Dzięki ubogającym i radosnym spotkaniom i rozmowom z wieloma gorzowianami, odczułem wyzwolenie, które zdawało mi się nieosiągalne.

Wszystko to jest czymś więcej niż tylko świtem nowego początku.

Przeżywam łagodny wschód słońca jakiegoś niezwyklego, z dawna oczekiwanego dnia, o którym już w tych pierwszych godzinach wiadomo, że przyniesie ludziom wyłącznie radość.

Wiktor Hugo powiedział kiedyś, że muzyka wyraża to, czego nie da się wyrazić, lecz o czym nie da się milczeć. Wszystkie te uczucia przepełniają mnie, kiedy słucham romansu F-dur, op. 50, Ludwika von Beethovena.

Być może również ten wrażliwy europejski tytan – Beethoven myślał o niezwyklego, szczęśliwym poranku jakiegoś szczególnego, błogosławionego dnia w swoim życiu, kiedy z jęzika pióra spływała ta wyzwalająca muzyka, którą potem podarował ludzkości.